

0 uchodźcach bez napinki

27 kwietnia 2016

Kategoryczni przeciwnicy przyjmowania jakiegokolwiek liczby uchodźców dobijających do bram Europy starają się uchodzić za racjonalnych obrońców polskiego interesu, kierujących się chłodną polityczną kalkulacją. Jeśli ich argumenty czasem przyjmują formę rozemocjonowanego jazgotu, to oczywiście tylko po to, by ich tezy lepiej wybrzmiały i przekonały szersze grono odbiorców. Hasła o islamskim najeździe czy odcinanych przez islamistów głowach – to tylko licentia poetica. Wypowiadają je przecież w istocie twardo stąpający po ziemi komentatorzy, którzy nie chcą dopuścić, by w naszym kraju również zakwitły szariackie „no go zones” i miały miejsce zamachy takie, jak niedawny w Brukseli. W tej optyce, z drugiej strony, każdy, kto dopuszcza w ogóle możliwość ugoszczenia w naszych progach uciekinierów z Syrii czy Iraku, jest w najlepszym razie idealistą, który stracił kontakt z brutalną rzeczywistością, a w najgorszym – perfidnym szpionem, chcącym kuchennymi drzwiami doprowadzić do dechrystianizacji Polski przy pomocy hord Maurów.

Nie po raz pierwszy okazuje się, że głośne wykrzykiwanie polskich interesów rzadko idzie w parze z realnym ich wspieraniem. Nie przypadkiem mistrzami pragmatycznej polityki są wiecznie uśmiechnięci i przytakujący Chińczycy, którzy, zamiast wyznaczać sztywne granice, od których „dalej nawet o krok”, spokojnie próbują ugrać na wielu frontach pulę większą, niż byłaby do zgarnięcia na jednym. Napinanie się nigdy nie było dobrą strategią dla tych, którzy znają swoją wartość – a od zawsze stanowiło raczej domenę tych, którym nic poza prężeniem wątpliwych muskułów już nie zostało.

W wyniku wrześniowych negocjacji przypadło nam w udziale przyjęcie 7 tysięcy uchodźców. Jednak po zamachach w Belgii premier Szydło zapowiedziała, że w tej sytuacji Polska nie przyjmie deklarowanej wcześniej liczby. Abstrahując na razie

od rozstrzygania, czy 7 tysięcy dla Polski to dużo czy mało, pytanie brzmi, po co w ogóle obecnie zabierać głos na ten temat, skoro kwestia ich rozlokowywania jak na razie de facto stoi w miejscu. Z grupy 106 tysięcy, która została, brzydko mówiąc, podzielona między kraje członkowskie, jak na razie rozmieszczono około 1000 osób. Sama Polska na początku roku ogłosiła, że ma już gotowych... 100 miejsc na przyjęcie gości z Bliskiego Wschodu. W sytuacji, gdy proces rozmieszczania uchodźców jeszcze na dobrą sprawę nawet nie ruszył z miejsca, choć minęło już pół roku od uzgodnień, kolejne podgrzewanie i tak już gorącej atmosfery wokół Polski w UE jest ostatnim, co powinniśmy robić.

Zasady przyjęcia uchodźców przez Polskę są tak wyśrubowane, że zebranie grupy tych 7 tysięcy osób, które zadeklarowaliśmy przyjąć, zająć nam może kilka lat. Już pierwszy z warunków będzie trudny do spełnienia – jasno wyrażona chęć, by zostać azylantem w naszym kraju. Konia z rzędem temu, kto znajdzie 10 imigrantów z Bliskiego Wschodu, których celem jest na stałe zamieszkać nad Wisłą. Od lat 90. przewinęło się przez nasz kraj ok. 90 tys. uchodźców z Czeczenii, a ostało się ich mniej niż 10 tysięcy. Nawet jeśli w końcu uda się zebrać odpowiednią grupę, to będzie trzeba jeszcze ją zweryfikować – sprawdzić, czy to na pewno uchodźcy z terenów ogarniętych wojną, a nie imigranci zarobkowi, a także czy nie mają powiązań z terrorystami. A to niełatwe, trzeba to przeprowadzić dokładnie, więc siłą rzeczy zajmie wiele czasu.

Rozsądna polityka Polski wobec problemu, przed którym stanęła Europa, powinna jednak wyglądać dużo bardziej aktywnie. Przyjęcie 7 tysięcy muzułmanów nie powinno stanowić dla Polski ani większego problemu, ani zagrożenia. Od lat 90. przyjęliśmy w sumie około 90 tys. Czeczenów, którzy w dużej części są salafitami, a więc reprezentują najbardziej radykalny odłam islamu. Prześwietlenie 7 tysięcy przybyszów nie powinno być dla naszych organów żadnym kłopotem. Podczas najbliższych wakacji przyjedzie do Polski na Światowe Dni Młodzieży prawie

2 mln ludzi i nikt jakoś nie krzyczy, że będzie to dla naszych służb zadanie nie do wykonania.

Trudno też brać na poważnie ostrzeżenia przed islamizacją – w Polsce jest obecnie ok. 25 tys. muzułmanów, więc nawet gdyby przyjechało ich kilkanaście tysięcy, to i tak stanowiliby promil społeczeństwa. We Francji, przed którą tak przestrzegają wieszczący islamizację, muzułmanów jest 7,5%, a w Szwecji 4,5%. Nie mówiąc już o Bułgarii (14%) oraz Cyprze (25%), choć jakoś nie słyszy się, by w tych dwóch krajach wyznawcy islamu zaczęli wprowadzać terror kulturowy. Nie ma również powodów przypuszczać, że uchodźcy przybywają tu „ciągnąć socjał”. Trudno uznać, że główne marzenie ludzi decydujących się na przepłynięcie tratwą przez morze albo przejechanie chłodnią przez Europę, to wygrzewanie się na zasiłku. Absurdem jest twierdzenie, że ktoś, kto decyduje się na tak niebezpieczną podróż, musi być szczególnie leniwy – akurat energii witalnej trudno tym osobom odmówić.

Owszem, muzułmańscy imigranci są w czołówce pobierających zasiłki na zachodzie UE, ale nie dlatego, że są generalnie leniwi, a dlatego, że są imigrantami właśnie, a ci najczęściej zasilają dolne warstwy społeczne. Powinni być na to wyczuleni szczególnie Polacy, na których temat przecież też często bywa upowszechniany krzywdzący stereotyp „przejadaczy socjału”.

A więc zamiast zapierać się rękami i nogami przed przyjęciem tej w istocie garstki ludzi, dużo bardziej produktywnie byłoby skupić się na innych ważnych dla Polski kwestiach związanych z tym tematem. Chociażby na zwiększeniu ochrony zewnętrznych granic UE, co dla Polski, posiadającej takie granice i leżącej w dosyć niepewnym regionie, jest sprawą niezwykle istotną. Tym bardziej, że jedyną unijną agencją mającą siedzibę w Polsce jest Frontex, który odpowiada właśnie za tę sferę. Za ochronę granic zewnętrznych odpowiedzialne jest z osobna każde państwo, na którego terenie one leżą, co w obecnym kryzysie zupełnie się nie sprawdza, gdyż granice niektórych krajów (np. Grecji) są dziurawe jak sito. Sam Frontex jest obecnie jedynie

kadłubkiem – zatrudnia zaledwie ok. 350 osób, które i tak pracują w jego administracji, a przy każdej akcji musi prosić państwa członkowskie o strażników granicznych oraz o pozwolenie na działanie na danym terytorium. Nawet po niedawnych podwyżkach jego budżet roczny wynosi ok. 140 mln euro, a budżet operacji morskich i lądowych to tylko 73 mln euro. Przeniesienie większej odpowiedzialności za granice zewnętrzne na Unię jako całość i zapewnienie Frontexowi stałej załogi strażników granicznych byłoby nie tylko pożądane w obliczu obecnego kryzysu migracyjnego, ale też zwiększyłoby bezpieczeństwo Polski w perspektywie ewentualnych napięć na wschodnich granicach. Szczególnie w sytuacji, gdy konflikty przygraniczne przyjmują obecnie formę toczonych cichaczem wojen hybrydowych.

Wzmocnienie mającej siedzibę w Polsce agencji wzmocniłoby pozycję Polski na arenie unijnej. Przedstawienie pomysłu na reformę ochrony unijnych granic wraz z koncepcją rozbudowy struktury i kompetencji Frontexu byłoby w oczach innych unijnych graczy dużo bardziej poważną postawą, na której moglibyśmy zyskać znacznie bardziej niż na ugraniu tysiąca czy dwóch tysięcy azylantów mniej. Wzmocniony i sprawny Frontex mógłby być niezłym substytutem stałych baz NATO, o które tak bardzo zabiegamy. Aby jednak przekonać resztę UE do naszej wizji wspólnej ochrony granic, najpierw dobrze byłoby poważnie podejść do wcześniejszych uzgodnień dotyczących rozładowania tego kryzysu migracyjnego, który już mamy.

Kolejną korzyścią z rzetelnego przestrzegania uzgodnień dotyczących relokacji byłoby czerpanie instytucjonalnego know-how. Nasze służby nie są obecnie doświadczane w inwigilacji środowisk islamskich, a ekspansja islamistycznego terroryzmu powoduje, że muszą te kompetencje osiąść jak najszybciej. Również nasze instytucje opieki nie mają pojęcia o integracji i pomocy imigrantom – nie tylko muzułmańskim, ale jakimkolwiek. A w sytuacji problemów demograficznych oraz postępującej globalizacji połączonej ze stopniowym bogaceniem

się naszego kraju, takie umiejętności w niedługim czasie będą im niezbędne. Nawet gdyby założyć, że udałooby nam się „wywinąć” od obecnego kryzysu migracyjnego, to bez wątpienia podobne wyzwania dopadną nas w nadchodzącym czasie. Tymczasem teraz rysuje się znakomita szansa, by domagać się wsparcia polskich instytucji w radzeniu sobie z problemem od służb naszych sojuszników z UE. Dzięki bliskiej współpracy na tym polu moglibyśmy np. od służb francuskich czerpać wiedzę o rozpoznaniu radykalnych środowisk islamskich, a od instytucji szwedzkich przejmować know-how w zakresie asymilacji przybyszów z zagranicy. A wszystko odbywałoby się we względnych spokoju, gdyż obecnie to nie bezpośrednio na nasze granice napierają imigranci, a prześwietlenie i integracja 7 tysięcy osób nie stanowi wielkiego wyzwania. Gdy w przyszłości historia postawi nas pod ścianą z problemami o dużo większej skali, na naukę może być już za późno.

Zamiast wyklócać się o to, czy przyjmiemy 6, czy 8 tysięcy osób, lepiej przenieść dyskusję na tematy dużo bardziej kontrowersyjne z naszego punktu widzenia. Chociażby na kwestię poziomu pomocy, jaką uzyskają tu uchodźcy. Nie do pomyślenia jest, by po pierwszym okresie asymilacji otrzymywali oni wyższe wsparcie niż nasi potrzebujący rodacy, których na tle innych państw UE jest w naszym kraju mnóstwo. Sytuacja, gdy status uchodźcy jest lepszy niż status potrzebującego Polaka, byłaby absolutnie nieakceptowalna, a do tego mógłby prowadzić pomysł ujednolicenia poziomu wsparcia dla imigrantów w całej UE. Skala pomocy musi być też dostosowana do możliwości poszczególnych państw – wydatki na przybyszów nie mogą odbijać się na krajowych programach społecznych, skierowanych do własnych obywateli. Kolejną kwestią wartą nieustannego podnoszenia jest rzetelna weryfikacja – nie możemy godzić się na przyjmowanie osób, co do których nie będziemy mieli pewności, że pochodzą z terenów ogarniętych wojną i nie podejmowali współpracy z radykalnymi islamistami. Nawet jeśli oznaczałoby to, że w efekcie przyjmiemy mniejszą liczbę, niż zakładano.

Po co kreować się na czołowy antyislamski kraj w Europie? A taki obraz Polski wyłania się nie tylko z działań i wypowiedzi polityków, ale przede wszystkim z atmosfery wytworzonej przez część mediów i liderów opinii publicznej w naszym kraju. Bliska współpraca Polski z kilkoma dużymi krajami muzułmańskimi przyniosłaby nam wiele korzyści, jednak antyislamskie nastroje mogą w tym przeszkodzić. Aspirująca do UE Turcja to nie tylko niemal 80-milionowy dynamiczny rynek zbytu, do tego umiarkowanie zamożny, a więc doskonały dla naszych firm produkujących co najwyżej średniej jakości produkty. To także bardzo silna armia, należąca do pierwszej dziesiątki na świecie i kraj, który ma na pieńku z Rosją, a więc doskonały potencjalny sojusznik naszego państwa w obliczu indolencji militarnej większości krajów UE i niepewnej przyszłości wschodniej flanki NATO. Wspieranie Turcji w jej dążeniach do członkostwa w UE, co na szczęście ostatnio ma miejsce (vide spotkanie naszego MSZ z tureckim odpowiednikiem) zbliżyłoby oba kraje i mogłoby nam zapewnić bardzo silnego sojusznika w Unii. Z drugiej strony, danie Turcji realnej perspektywy członkostwa musiałoby uruchomić w tym kraju stopniową liberalizację systemu politycznego, by negocjacje akcesyjne mogły iść naprzód. A to byłoby już w interesie obywateli Turcji oraz Kurdów, z którymi obecny rząd turecki prowadzi cichaczem wojnę.

Kolejny z potencjalnych partnerów Polski to Iran, który właśnie odmraża kontakty z Zachodem. Czołowe kraje Zachodu już zacierają ręce na myśl o wejściu na irański rynek, jednak Polacy jak zawsze są dwa kroki z tyłu. Tymczasem na poziomie społecznym nasze kraje cieszą się dobrymi relacjami, mającymi początek jeszcze w czasach II wojny światowej, gdy polscy uchodźcy zostali dobrze przyjęci na irańskich ziemiach. Iran to gigant surowcowy: ma największe na świecie zasoby gazu i czwarte na świecie zasoby ropy. Dla importera surowców, jakim jest Polska, taki sojusznik to skarb, jednak bliska współpraca z Iranem wymagałaby aktywnej polityki Polski na tamtym odcinku, tymczasem jak na razie panuje w tej kwestii cisza.

Bez wątpienia bardzo pomocny w tworzeniu relacji z Turcją i Iranem byłby korzystny klimat wokół Polski jako kraju przyjaznego islamowi. Obecnie uchodzimy za jeden z bardziej niechętnych islamowi krajów Europy. Z taką łatką możemy raczej zapomnieć o statusie ważnego partnera Turcji i Iranu.

Rozpalanie nastrojów antyislamskich będzie też bez wątpienia przeszkodą w zwalczaniu jednej z przyczyn masowej imigracji, czyli terroryzmu islamistycznego. Wygrać z nim można tylko przy współudziale wspólnoty muzułmańskiej oraz umiarkowanych krajów islamskich. Umiarkowani muzułmanie stanowią zdecydowaną większość wspólnoty islamskiej i to nawet w macierzystych krajach organizacji islamistycznych. Przykładowo zaledwie 8% Pakistańczyków stoi po stronie talibów, a 10% Nigeryjczyków popiera Boko Haram. W Jordanii deklaratywnych zwolenników Al Kaidy jest ok. 11%. Co więcej, te odsetki regularnie spadają. W krajach europejskich radykalnych muzułmanów jest o wiele mniej. We Francji zwolennicy salafizmu są szacowani na zaledwie 2 promile wszystkich tamtejszych muzułmanów. Oczywiście nawet tak wąska grupa islamistów może urządzić krwawą łaźnię, jednak sprowadzanie walki z islamizmem do walki z islamem jest nieporozumieniem. Wręcz przeciwnie, z islamizmem będzie można wygrać tylko przy udziale umiarkowanej większości muzułmanów, która musi podjąć walkę z islamistami nawet nie tyle fizyczną, co teologiczno-polityczną, dzięki której zdelegitymizuje terrorystów w oczach całej swojej wspólnoty religijnej. Póki umiarkowane kraje muzułmańskie (Algieria, Indonezja, Malezja itp.) nie dołączą do koalicji antyislamistycznej, umiarkowani imamowie nie wystąpią przeciw islamistom w meczetach, a zwykli muzułmanie nie zaczną wprost piętnować fundamentalizmu, ekstremiści nie zostaną zmarginalizowani i wciąż będą mogli swobodnie funkcjonować w przestrzeni religii muzułmańskiej. Jednak gdy będziemy utożsamiać islamistów z wszystkimi muzułmanami, to na zasadzie samospełniającej się przepowiedni niechybnie w końcu stanie się to prawdą i zamiast walki z islamizmem w sojuszu z islamem, zostanie nam walka z całym islamem. A wygrać ją

będzie bez porównania trudniej. Tak więc rozbudzanie nastrojów antyislamskich, nie tylko w Polsce, ale też wszędzie indziej, jest szkodliwe z punktu widzenia walki z terroryzmem.

Przy „okazji” każdego dramatycznego wydarzenia związanego z islamizmem szeroko pojęci polscy przeciwnicy islamu przypominają jako przykład polskiej wiktorii „odsiecz wiedeńską”, podczas której Jan III Sobieski ruszył na pomoc Austriakom w wojnie z Turcją. Trudno o większy idiotyzm – uczestnictwo w Bitwie pod Wiedniem był jednym z największym błędów strategicznych w historii. Po pierwsze, uratowaliśmy Austriaków, którzy niewiele później uczestniczyli w naszych rozbiorach. Po drugie, osłabiliśmy Turcję, dzięki czemu umożliwiliśmy Rosji ekspansję na zachód. Po trzecie wreszcie, daliśmy się wpuścić w potyczkę z Turcją, czyli krajem, który był naszym naturalnym kandydatem na sojusznika i nigdy nie uznał naszych rozbiorów. Niestety oparta na uproszczonych schematach myślowych polityka doprowadziła do tego brzemiennego w skutki błędu. A obecnie podobne schematy każą młodym Polakom epatować wizerunkami husarii i brać na sztandary to pyrrusowe zwycięstwo, które zaszkodziło nam bardzo. Oby od podobnych schematów uwolniła się polityka współczesnej Polski, bo poza zagrożeniami związanymi z kryzysem imigranckim widać też ewidentne szanse. Zrzucenie kłapek z oczu pomogłoby je wykorzystać.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl